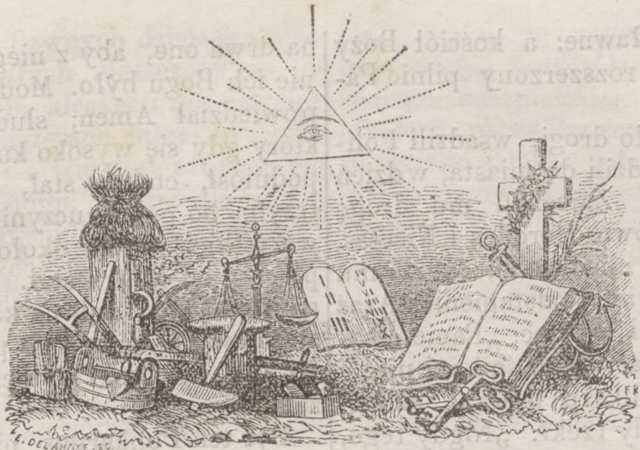
№ 43.

WARSZAWA

26 Października

1862.



REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnéj

Nr 1527.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Śty Polikarp Biskup Smyrneński.

Gdy cesarz Aurelijusz Werus, razem z bratem Lucyjuszem nastąpili, wielkie prześladowania na Chrześcian nastały. Wielu świętych męczenników, nie zwyciężone żadnem morderstwem, serce pokazali. A między innemi młodzieniec jeden Germanikus, wielkością serca swego, i niezwyciężoną na śmierć, która jest z przyrodzenia straszliwa, statecznością, za pomocą Bożą pierwszy był. Ale niejaki Kwintus, gdy ujrzał okrutne zwierze, i ono straszliwe męczenie, serce stracił, i przeląkłszy się, zbawienia swego odstąpił. Polikarp gdy o tych męczeństwach słyszał, a dowiedział się, iż lud pospolity pogański, jawnie przy innych męczeństwach, wołał na sędziego: „Szukaj Polikarpa, a wygładzaj niezbożne: miał wolę w mieście zostać, jednakże gdy go Chrześcijanie prosili, aby uchodził, do wsi jednej uciekł, i tam kilka dni będąc na modlitwie, pilnie o pokój kościołowi świętemu Pana Boga prosił. A trzeciego dnia przed pojmaniem swojem, miał przez sen takie widzenie: Zdało mu się, iż wezgłówek pod jego głową znienacka zapalony gorzał, i zaraz ocknąwszy się, do przytomnych rzecze: W ogniu za Pana Jezusa Chrystusa spalony być mam, to mi takie widzenie ukazuje. I potém prędko oni, którzy go z pilnością do urzędu szukali do tej wsi gdzie on był, przyszli; i pojmawszy dwoje pacholąt, biczmi je przymusili, aby im Polikarpa ukazali. I ukazali go w jednej komorze na górze; z którego miejsca mogąc wnetże uciec, nie chciał, mówiąc: „Niech się stanie wola Boża.“ Gdy usłyszał, iż poń słudzy idą, zszedł przeciw im po schodach, i mile ich, a wesoło przywitał.

A słudzy, którzy go przedtem nie widzieli, patrząc na siwiznę i zgrzybiałą starość jego, na onę pokorną, a cichą twarz jego, dziwując się, sami do siebie mówili: „Czy trzeba było takiej skwapliwości w szukaniu starca tego?“ I kazał Polikarp stół dla nich nagotować, i prosił ich, aby ochotnie jedli, a jemu jednej godziny ochotnie na modlitwę użyczyli. Na co gdy mu zezwolili, gorąco się Panu Bogu modlił, dziękując za wszystko, co się około niego działo, od młodości, za małe rzeczy

wielkie, sławne i niesławne: a kościół Boży po wszystkim świecie rozszerzony pilnie Panu Bogu zalecał.

Gdy już był czas do drogi, wsadzili Polikarpa na osła, i prowadzili do miasta, w dzień Soboty Wielkanocnej. Zajechali mu drogę dwaj cesarscy senatorowie Herodes i Nicetas, i wziąwszy go na wóz między się, radzili mu tylko słowne wiary świętej odstąpienie. Ażaż to wielka rzecz, mówili, wyrzec: „Panie cesarzu, gotowem ofiarować, a tak śmierci ujść.“ Na te słowa święty Polikarp milczał, aż kiedy więcej nalegali, tedy rzekł: „Nigdy tego, co mi radzicie, nie uczynię.“ A oni zwątpiwszy o nim, złe mu słowa zadając, z wozu go prędko zrzucili, tak, iż sobie nogę obraził. Na onę ranę nogi nie dbał święty Polikarp. Gdy był przywiedziony na sąd, lud krzyknął, radości dając znak, iż Polikarp pojman. A on inszy głos Pana naszego z nieba usłyszał w te słowa: „Mężnym bądź Polikarpie, a wielkiem sercem konaj.“ Ten głos i inni z naszych słyszeli. Tedy go spyta sędzia: „Tyś jest Polikarpus?“ gdy on to wyznał. Rzecze: „Użal się starości twej, a upamiątaj się, a mów: Zagub niezbożne.“ Tedy Polikarp poważną twarzą, oczy w niebo podniosłszy, a ręce na lud ściągnąwszy, rzekł: „Zagub niezbożne.“ Rzecze mu sędzia dalej: „Przysięgnij, a zaprzyj się Chrystusa, i łaj jemu, a ja ciebie wypuszczę.“ Rzecze Polikarp: „Już mu służę lat 86, a nic mi złego nie uczynił; jakoż ja Boga mego, który mię do tego czasu zachował, bluźnić mam słowy niepoczciwemi? Napróżno tego odemnie nie żądaj, a daj mi pokój, ja Chrześcijanin jestem.“ Rzecze sędzia: „Wypuszczę na cię okrutne bestyje.“ Odpowie święty: „Wypuść, ja swego nie odstąpię, lepszego za gorsze.“ Rzecze sędzia: „Każę cię spalić.“ Odpowie święty: Tym mi ogniem grozisz, który gaśnie; a o onym nie wiesz, w którym niezbożni, niewierni, na wieki gorzeć będą. Nie baw się, czyń co chcesz.“ Tedy zawołać woźnemu sędzia kazał. „Polikarpus Chrześcijaninem się być zna.“ Co słysząc pogaństwo i żydowie z niemi zawołają: „Ten jest wszystkiej Azyj doktór, Ojciec Chrześcijański, burzyciel bogów naszych; wołali, aby żywego w ogień wrzucił.“

Gdy był nagotowany ogień, włożyli siwego starca, jako barana przewyborniejszego między wszystką trzodą, związanego ku ofierze, na drwa one, aby z niego wdzięczne ubłaganie ich Bogu było. Modlił się święty, a gdy powiedział Amen; słudzy ogień podniecili, który gdy się wysoko ku górze z płomieniem podniósł, cnd się stał, na który wszyscy patrzyli, bo ogień uczynił sobie jako sklep, ze wszystkich stron około ciała wydęty, jako płachty od wiatru stał. Gdy to widziało pogaństwo, krzyknęli na kata, aby blisko przystąpiwszy, mieczem go przebił. Co gdy uczynił, tak wiele krwi wytoczył, iż wszystek ogień zalała.

Był ten Polikarpus przedniejszy człowiek czasów tych, biskup kościoła Smyrneńskiego katolickiego, Doktór od Apostołów idący, i prorok święty.

WARSZAWA.

I.

Początki Warzzawy.

Albo o naszej Warszawie, mało to jest rzeczy do powiedzenia? Najbliższać nam ona wprawdzie, więc godziłoby się o niej i najwięcej wiedzieć, a my podobno Bogiem a prawdą, najmniej wiemy o niej właśnie. Już to taka nasza natura, że rzeczy dalekie, budzą ciekawość naszą, a zaś to, co bliskie, to najczęściej i obojętne. Z tém na co oczy nasze od dzieciństwa patrzą, wśród czego rodzimy się, wzrastamy i starzejemy, z tém się i oswajamy, i uwagi już to naszej nie zwraca. Są jednak ludzie, i miasta, i rzeczy, około których szkoda przejść obojętnie, choćbyśmy je jak najdawniej znali. Są miejsca nam bliskie, o których więcej ciekawych rzeczy jest do powiedzenia, jak o innych najdalszych. A kto też za tą ciekawością pójdzie, a onych rzeczy się nadowiaduje, to już potém w mieście, w którem się rodził, po tych samych kamieniach całkiem inaczej chodzi, na te same mury całkiem inaczej patrzy, dzwonów kościelnych całkiem inaczej słucha! Bo kamienie uliczne, mury domostw starych, dzwony onych kościołów dawnych, widok Wisły naszej, jak oto tu u nas w Warszawie, lub innej jakiej rzeki w inném miejscu; wszystko, takiemu

człowiekowi mówi o dawnych dziejach, ubiegłych latach, przeszłych nieszczęściach lub radościach, o wojnach, klęskach lub zwycięztwach, o królach, bohaterach, lub cichych pracowitych ludziach, i o wiecznie tym samym, i wiecznie żyjącym Bogu, co króluje na niebie, a rządzi na tej ziemi, po której stąpamy. Dobrzeby też było, żebyśmy my, co tu w Warszawie żyjemy, chodzili po jej ulicach, spoglądali na jej mury z myślą, wiedzą, i pamięcią o tém, co tu zaszło. Co tedy o początku i dziejach Warszawy po różnych książkach piszą, to wam dziś jako potrafimy. opowiemy wkrótkości.

Są też niektóre rzeczy, co choć i niepisane w książkach, przechowały się w ludzkiej pamięci, i tych o ile można w tem opowiadaniu nie pominiemy.

I tak, powiadają ludzie, że kiedy dawno, dawno jeszcze, mniej było pól uprawnych, miejsc zamieszkałych, a większa część kraju stała pustkowiem, to i tu w tych okolicach, gdzie się dziś pomieścić nie możemy, gdzie dom obok domu budujemy, i piętra jedne nad drugie wznosimy, była pustka szeroka. Ciągnęły się daleko ciemne lasy, a w nich kryli się złoczyńcy, i biada była temu, co musiał te pustkowia przebywać. Mówią, że kiedy w Polsce panowało plemie króla Bolesława, Krzywoustym zwanego, jakiś człek pobożny, na oném pustkowiu, zbudował kaplicę, aniołom stróżom ją poświęcił, by strzegli podróżnych od złej przygody. Ta kaplica tedy aniołom świętym ofiarowana, miała być pierwszą budowlą na tem miejscu, gdzie dziś wielkie, i piękne stoi miasto. A miała stać tam, gdzie później zbudowano kościół Sgo Jerzego, a gdzie dziś fabryka żelazna Ewansa.

Król Bolesław Krzywousty, mając kilku synów, kraj polski przy śmierci między nich podzielił. Jedna z tych części nazywała się księstwem Mazowieckiem, i w tej to części było pustkowie z oną aniołów stróżów kaplicą. Księstwo Mazowieckie przeszło wkońcu, na najmłodszego brata Kazimierza, Sprawiedliwym zwanego, który też z czasem, i inne rozdzielone między braci części połączył, i królem w Krakowie stolicy ówczesnej, koronowanym został. Lubił on często łowy wyprawiać, i dzikiego zwierza po gęstych lasach gonić. Puścił się raz tedy w Mazowieckie lasy i puszcze, i goniąc zwierza, bardzo się zmordował. Szukał spoczynku, i wreszcie niedaleko od anielskiej kaplicy, lichą lepiankę znalazł. Wszedł uradowany, i zastał w niej ubogiego człeka, i żonę jego, która właśnie tylko co dwoje bliźniąt: chłopca i dziewczynę powiła. Uczciwi ludziska, przyjęli króla, jako mogli w ubóstwie swojem, a on im też przyjęcia tego odwdzięczyć niezaniedbał. Najpierw im bliźniątka do chrztu trzymał, dając im używane w owym czasie imiona, to jest chłopcu *War*, dziewczynie *Sawa*. Potém rodziców hojnie obdarzył, a następnie o chrześniakach swoich niezapominając, gdy dorośli, pozwolił im na pustkowiu wieś zbudować. I powstała wieś od imion *War* i *Sawa*, przezwana, wieś ta, później stała się miastem, a lud Mazowiecki, dotąd je *Warśawą* nazywa.

A powiadają jeszcze, że te bliźnięta, królewskie chrześniaki, pierwszy dom zbudowały sobie tam, gdzie dziś stoi w Starem mieście narożna kamienica, od Starego miasta czołem, do Gołembiej i Dunaju bokiem zwrócona, a liczbą 48 dziś naznaczona. Jest to niewątpliwie najstarsza budowa, w najstarszej części Warszawy wzniesiona. Zbudowana jest ona osobliwie, ma dotąd figury niektorych świętych, i ślady, że figur takich, kiedyś było daleko więcej. Stąd wnoszą niektórzy, że niegdyś była kościołem; inni, że w dawnych czasach mennicą. Takie miały być początki Warszawy, jak powiadają około roku 1186, a zatem blisko 700 lat temu.

Ów ojciec chrzestny, na pustkowiu urodzonych bliźniąt, król Kazimierz Sprawiedliwy zostawił królestwo synowi Leszkowi Białemu, a Mazowsze drugiemu synowi Konradowi oddał. Stąd ten Konrad pisał się i nazywał się księciem Mazowieckim, od niego szli i późniejsi książęta Mazowieccy, co mieszkali w Płocku lub Czersku, aż później daleko, znów Mazowsze wjedną całość zresztą kraju się spoiło.

Za tego tedy Konrada, pierwszego księcia Mazowieckiego, pierwsza w urzędowych papierach jest wzmianka o Warszawie. Była to jednak wtedy jeszcze wieś tylko, bo tak stoi zapisana w owym dokumencie przez księcia Mazowieckiego podpisanym roku 1224.

Są ślady, że w tej Warszawie, jako wsi jeszcze stał kościół parafijalny roku 1250 zbudowany; a był ten kościołek początkiem na-

szej pięknej Fary, czyli Sgo Jana. W miarę jak miasto wzrastało, i podnosiło się, rozszerzał się, i przyozdabiał się ów ubożuchny kościołek, aż doszedł do tak wielkiego, i do tak pięknego, jakim jest teraz, w którym się o to modlimy, i chwałę Bogu śpiewamy.

Upływały lata, zmieniali się królowie w Krakowskim stołecznym zamku, zmieniali się i Mazowieccy książęta w stołecznym Płocku swoim. Nastał król Kazimierz III, zwany królem Wielkim, albo królem Chłopów. Miał on spór z Niemcami, Krzyżakami, co zagrabili Polską ziemię nad Baltyckiem morzem. Nie mogąc sam dać sobie rady z chytrym Niemieckim rodem, wysłał z prośbą do papieża, aby się w ten spór wdał, a sprawiedliwie rzecz rozsądził. Papież obiecał przysłać posłów czyli *legatów* swoich, żeby tę sprawę rozeznali. Było to w roku 1330, a Warszawa była już wtedy miastem dość znacznem. Bo kiedy się rozglądać zaczęto, gdzieby to najprzystojniej zjechać się było owym legatom papieskim z królem Kazimierzem i Krzyżakami, ktoś z ówczesnych pytany, odpowiedział: „Że najstósowniejszem ku temu miejscem będzie Warszawa na Mazowszu, miasto, które ma mury obronne, zamek, kędy książe Mazowiecki najczęściej przebywa, liczne domy, gdzie tak znakomici goście wygodnie pomieścić się mogą. Tak więc, pięćset lat temu, widzimy już Warszawę miastem, i to miastem murem opasanem, od nieprzyjaciół bezpiecznem, zamek książęcy posiadającem, i monarchów w swych murach przyjmującem.

Do rozsądzenia sprawy legaci papiescy zasiadali w kościele Sgo Jana, a był już wtedy w mieście i drugi kościół Sgo Marcina czyli Augustyjanów, dziś na Piwnej ulicy. Był rynek dzisiejszego Starego Miasta, zapewne już zabudowany domami. Zamek książęcy stał już za wałami miasta, a z drugiej strony kościół Sgo Jerzego, na miejscu onej anielskiej kaplicy zbudowany. Wisła płynęła sobie jako i teraz, a flisy z towarem po niej żeglując, tu mieli przystań swoję.

I znów zmieniły się czasy, zmienili się i ludzie, zmieniło się, a rosło miasto Warszawa. Przybywało mu ulic, domów i kościołów. Przyłączono doń Solec z kościołkiem przez Władysława Łokietka zbudowanym, wzniesiono kościół i klasztor ojców Bernardynów, z wielką murowaną dzwonnicą, przybudowano Nowe miasto, i w niem Panny Maryj kościół, przy którym był najdawniejszy miejski szpital, rozszerzono zamek książęcy, i ozdobiono kościół Farny. Nawiedziła też miasto dwukrotna klęska pożaru. Wszystko to stało się jeszcze wtedy, kiedy Mazowsze, osobnych swoich książąt miało. Tymczasem na tronie Polskim wygasł ród Piastów, rozszerzyły się granice Królestwa Polskiego przybytkiem ruskich i litewskich krajów. Już i drogie Jagiełłów plemie kończyło się, bo przedostatni o to tego rodu król Zygmunt I Stary siedział na krakowskiej stolicy, a był to już wiek XVI (szesnasty), rok 1529. Książętami Mazowsza byli dwaj młodzieńcy, bracia rodzeni: Janusz i Stanisław. Wiek ich młodzieńczy piękne rokował nadzieje, spodziewano się, że rozrodzą szczep książąt Mazowieckich w późne wieki! Tymczasem śmierć niespodziewana, w obydwóch razem prawie ugodziła. Złączeni za to, i po śmierci w jednym spoczywają grobie. Grób ten obejrzyjcie kiedy u Fary czytelnicy mili, przypatrzcie się rzeźbie, co go ozdabia i wyobraża: dwóch rycerskich młodzieńców, w objęciach wzajemnych spoczywających.

Ze śmiercią ostatnich swoich książąt, Mazowsze według umowy, przeszło do korony polskiej, a Zygmunt I wyznaczył z niego dochody żonie swojej, tej to chciwej i chytrej Bonie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

O Jasiu Balcerzaku i o Antoli Paradównie.

(POWIEŚĆ)

Jaka była Antola?

Antola była cnotliwa, skromna, pracowita, roztropna, szczera i dobroduszna. Była zbudowaniem towarzyszek swoich, i zachętą do dobrego. A jeszcze była ozdobą parafji, i chlubą wsi, pociechą i radością ojca, a matki żywą czułością. Antola była zdrową, czerstwą. Lica białe zakwitały jej niby dwie róże. Kochała Boga na niebie, kochała rodziców na ziemi, a i jeszcze kochała Jasia. Cieszyła się swoją wsią, i kościołem, i całą ziemią do koła: wodami, i lasami, i polem, i słońcem, i wszystkiem, co widziała koło siebie, i nad sobą.

A jaki był Jasio?

Jasio był dziarski, rzetelny, pilny, i uważny, a trzeźwy. Gdzie stąpił, dzielność tam niby rosła, bo każdy, kto spojrzał na niego, krzepił się do owej dzielności. Gdzie stąpił Jasio, czuć było, że męzka siła wstępowała we wszystkie barki i w duszę. Oj gdyby ziemia rodziła więcej takich Jasiów. Kochał on Boga, ojca nie miał, za to podwójnie kochał matkę, i miłował duszą i ciałem czystą, jak on sam Antolę. Chciał się z nią ożenić, i obiecywał sobie z nią szczęśliwe dni za życia!

Byłoby to może wszystko się stało, ale Bóg tak nie zdarzył. A jak się na prawdę stało, to bardzo smutne. A że do tej historyj wchodzą i inni ludzie, to opowiem o wszystkich, i o miejscu, gdzie to było.

Było to na jednej wyspie Wiślanej, tam za Puławami, za Każmierzem ku Sandomierzowi. Wyspa to dziwna, rosły na niej trawy, ziela, i ludzie, a i wierzby. Innego drzewa nie było. Wierzby stanowiły całe bogactwo wyspiarzy, bo z wierzb stawiano chałupki, robiono wszystkie sprzęty domowe, ławki, stoły, łóżka; wierzbami palono na kominach, z wierzb łyka darto na łapcie i krubki. Ten gospodarz uważany był za bogatego, który miał najwięcej wierzb, i ta dziewczyna za bogatą się miała, która dostawała sporo drzew wierzbowych na pniu, kiedy szła za chłopa. Pomiędzy drzewkami słaniały się prócz ludzi jeszcze mleczyste krówki, albo kozy. Koni, owiec tam nie było.

A z czego ludzie żyli, kiedy ani sieli, ani zbierali, przecież liściem wierzbowem, ani chrabąszczem na wiosnę żyć nie można. Jednego mleka człeku też nie starczy? Ha, żyli sobie jak wiele wsi w tamtych stronach: z orylki na wodzie. Spławiali zboże do Torunia i do Gdańska; na wiosnę wyjeżdżali, a wracali w jesieni z pełnemi trzosikami i z gotowego grosza kupowali sobie pożywienie i przyodziewek.

Z jednego końca tej wyspy stało domostwo Kacpra i Agaty Paradów. To byli rodzice Antoli. Z drugiego końca od północy stało domostwo wdowy Balcerki, co była matką Jasia. Ale ludzie ci nie bardzo się ze sobą znali, choć się na tej samej wyspie porodzili, wyrośli i dzieci wychowali, bo nie byli sobie ani sąsiedzi, ani krewni. Tyle też było ich znajomości, że się widzieli czasem w kościele, albo gdzie na targu, na weselu, albo na chrzcinach, albo w karczmie. Na wyspie była i karczma, ale w niej wódki nie było, bo ludzie wódki nie pijali, chyba, że niektórzy jak na orylkę pojechali, zdala od swoich, to sobie palącej wody nieodmawiali.

Nie jeden rzeknie, że musiało być szczęście na takiej wyspie, kiedy nie prowadzili ludzie ani ciężkiego rolnictwa, ani pijaństwem sobie pokoju nie zakłócali. Tak by to być powinno, i było tam więcej szczęścia, jak gdzieindziej, ale zawsze złe się lubi wmieszać do spraw ludzkich, i zawssze wedle przysłowia diabeł lubi mieszkać w suchych wierzbach. A starych wierzb na wyspie było nie mało, i spraw ludzkich niebrakło.

Szczęście czekało i dwojga młodych ludzi Jasia i Antolę. Przyjrzeli się sobie oboje najbardziej jednego razu, kiedy na Zielone Świątki przejeżdżali czółnem łachę Wiślaną. Czółno należało do Jasiowej matki Balcerki, co wolała sobie ten statek kupić, i z przewozu się żywić, aniżeli puszczać syna swojego, het precz aż za Warszawę, za Płock, za Toruń, za Grudziądz, do Gdańska, a nawet dalej; bo za życia Balcera, kiedy pierwszy raz wydostał się tam Jasio, to mu się zaraz zachciało i pływać po morzu. Najął się tam na okręt kupiecki, i pływał po tém morzu Baltyckiem może ze dwa miesiące na jesieni. Był u brzegów Pomorza, w Żuławach, był u Królewca i w Kłajpudzie. Dopiero stamtąd na Warmję, i Śtą Lipkę przez ziemię Chełmińską, powracał. A potém skręcił na Częstochowę i przez Łysą górę, gdzie stoi kościół Śto Krzyzki, przyszedł do domu. Naprzynosił bursztynów, obrazków i medalików dla siostry Hanusi, i dla małego brata Matuszka.

To też po śmierci ojca, bała go się matka w świat puszczać, bo Jasio darł się do świata, do ludzi, a matka bała się, żeby jej się syn nie utopił, gdzie w tym świecie, albo na morzu.

Kiedy przejeżdżali czółnem do kościoła, co stał zaraz prawie nad skalistym brzegiem, Antola przez to spojrzała modremi oczami na Jasia, że Jasio westchnął skrycie, jak usłyszał śpiewkę, i dojrzał śmigającą łódkę z żaglem od drugiego brzegu Wisły. Ludzie wtedy zapytali Jasia:

— Musiało ci się coś wspomnąć smutnego, kiedy ciężko wzdychasz.

Jasio im odpowiedział:

— Wspomniałem panicza, com go już wiele razy przewoził przez Wisłę. Chudziaszek zaleca się do jednej tam panny z drugiej wsi z za kościoła, ale mu widać zaloty nie idą, bo nieraz jak wracał, to ani słówka nie przemówił do nikogo, albo wzdychał, a czasem to śpiewał. Zabieduje się on przez nią chyba, jak jej niedostanie.

— A cóż to to, zawołał jeden chłop na to, żeby żałować czyichś zalotów. Kiedy mu się hce, niech się zaleca. Jak mu się naprzykrzy, co da pokój, albo gdzieindziej pójdzie. Jest tczem sobie głowę suszyć.

— Ja inaczej trzymam o kochaniu, przemówił Jasio, bo wedle mnie kochanie nie powinno być dla śmiechu ludzkiego, ani dla uśmiechów, jeno się uważać za prawo boskie, boć się i przy ślubie przysięga na miłość do śmierci.

Jak te słowa przemówił Jasio, spojrzał po ludziach, i niechcący dojrzał Antoli patrzenie na niego takie, że mu się niby chmurka przesunęła przed oczami, i niby mu kto duszę przycisnął do piersi. Wtedy to i Antola doznała tego samego, i niewiedząc o tém, silnie się pokochali oboje.

Czółno w poprzek wody wolno posuwało się już ku brzegowi, Jasio z drugim młodym orylem Wachem robili wiosłami silnie, ale łódź z żaglem dopędzała ich obok, i śmigała do lądu.

— O, jest, jest ten panicz, przemówił Jasio.

I doprawdy przewoził się z dwoma ludźmi przez Wisłę ten panicz Stefan. Stał na łodzi, trzymał w ręku dwa pęki kwiatów, i śpiewał piosnkę:

Wiożę ci mało, bo mam nie wiele,
Ach wiożę tylko kwiaty i ziele.
Dziś dzieci szczęścia i też łazarze,
Kwiatami stroją Boże ołtarze;
Więc chociaż ci to nie doda blasku,
Zwieńczę cię kwiatem żywy obrazku.

Kiedy się statki mijały, bo żaglowa łódź wyprzedzała czółno, panicz Stefan poznał Jasia, i zawołał na niego:

— A bywajże mi Jasiu, bywaj.

A Jasio odpowiedział z czółna:

— Bywajże mi paniczu, bywaj.

I przyjacielsko obaj po sobie spojrzeli.

Statki jeden za drugim dobiły do skalistego brzegu, powysiadali z nich ludzie, oprócz Wacha, i drugiego wioślarza z łodzi. Poszli wszyscy ku kościołowi. Powozy, bryczki, i wózki stały przy cmentarzu na drodze. Panicz podszedł do jednego powozu, i położył w środek pęki kwiatów, a potém poszedł do kościoła. Kazanie było o zesłaniu Ducha Śgo. Panicz Stefan prosił Boga o zesłanie z nieba Ducha jedności i zgody dla kraju, i prosił o miłość panny Jadwigi z Kuliszek. Jasio prosił Boga pacierzami o to, co Bóg da...

Po nabożeństwie od progu kościoła panicz szedł do powozu z panną Jadwigą, tak jej coś mówił, tak przemawiał czule, jakby jej szeptał modlitwy. Ona raz poraz słuchając go, oczami patrzała w jednę, to w drugą stronę, oczami czarnemi, a kiedy temi oczami na niego błysła, to paniczowi się wydało, że otworzyła mu swą duszę. Przy powozie oddał jej kwiaty. Ona się uśmiechnęła do kwiatów i do panicza, potém z matką pojechała do Kuliszek. Panicz wrócił do łodzi, i smutny przyjechał Wisłą do domu.

Jasio z Antolą szli do brzegu ze sobą, przy nich było jeszcze parę dziewcząt. Szli długo, bo każdy z wyspiarzy miał kogoś znajomego z kościoła, i stawał z nim do gadania. Miał czas Jasio opowiadać o Matce Boskiej w Śtej Lipce, o bursztynach i o morzu, i o strasznych burzach morskich. Miała czas Antola wsłuchać się w głos Jasia, aby się nim tak przejąć, żeby jej już dźwięczał po wszystkie dni aż do grobowej deski.

O, czemu u brzegu Wisły nie bylo ołtarza i księdza, żeby ich już połączył ślubem miłości!..

* * *

Od tego dnia, od Zielonych Świątek, już Antola nie siadała na inne czółno, kiedy przewoziła się do kościoła, jeno na czółno Jasiowe. Jasio znowu kiedy w jaką Niedzielę Antola zostawała w domu, markotniejszy był w kościelc. Ale jeszcze sobie ani słówka nie powiedzieli o swojem kochaniu.

Dopiero na jesieni, kiedy słuchy się roznosiły po wyspie, że ten i ów wybiera się posłać swatów do ojców Antoli, pomyślał Jasio, że trzebaby mu też pomyśleć o swatach, ozwał się do swojej matki:

— Moja matusiu, nie wiem, czy byście byli

za tem, ale mnie się widzi, że możeby mi się trza było i ożenić.

Balcerka odpowiedziała:

— Moje dziecko, myślałam już o tém z dawna, tylko nie wiem, jakaby ci się dziewucha nadała. Możeby ci się z Jagną Jędrzejówną, albo z Teklą Frąckówną ożenić, alebym wolała żeby z Jagną, bo to dziewucha skora do roboty, i ma serce, a Tekla już nie ma takiego serca.

A Jasio na to:

—Moja matusiu, jabym inszej nie chciał jeno Antolę Kacprównę, bo mi się ogniście podoba, a inna nie przypada mi jakoś.

Kiedy to Balcerka usłyszała, przemówiła:

— Moj chłopysiu, a gdzie ci to tam do Antoli, Porada na co innego patrzy, i aniby słuchać o tobie nie chciał. Antoli się też co innego patrzy, a nie taki chudziaszek, jak ty.

— Mnie się widzi matusiu, przemówił na to Jasio, że mi Antola wcale nie krzywa, byleby tylko z ojcami poradzió, a podesłać kogo na wywiedziny.

— Nie widzi mi się, wymówiła Balcerka, żeby ci się to udało.

Słowa matki przejęły smutkiem Jasia, a też słowa Jasia, że jeno z Antolą by się żenił zaturbowały serce Balcerki. Tylko, że Jasio miał nadzieję, a matka żadnej nie miała.

Razu jednego w Niedzielę, kiedy się Jasio natańcował w karczmie z Antolą, na wychodnem na dworze podszepnął jej słowa:

— A czyby tam do was nie przysłać swatów?...

— A to przyślij, przemówiła dziewczyna, i jak wisznia zaczerwieniła się cała, i poszła do domu.

Jasio ucieszony odpowiedzią dziewczyny, pędem leciał do matki, żeby jej o swojej radości powiedzieć, ale tylko próg izby przestąpił, matka się do niego odezwała:

— Widzisz Jasiu, żem przeczuwała, że ci się nie uda z Antolą, bo byli już u niej ze swatami w Czwartek od Bonka, i pili piwo ojcowie.

— Ale dziewucha nie piła chyba, przemówił Jasio.

— Piła i dziewucha, rzekła Balcerka, była u mnie ciotka, i opowiedziała mi wszystko.

— Przecieć byłem w kościele na summie, powiedział Jasio, a zapowiedzie nie wyszły, to jakoś inaczej być musi, i też jakem wychodził z karczmy, tom Antoli powiedział, że przyślę do niej z piwem, a ona mówiła żeby przysłać.

— Nie wiem ja moje dziecko, jak się to stało, rzekła Balcerka, ale to prawda, że swaty były u Paradów, i piwo pili.

Taką nowiną skłopotał sobie głowę Jasio, i przez całą noc nie spał, a na drugi dzień wieczorem, kiedy przyjechał z przewozu dowiedział się znowu od matki, że swaty u Paradów rzeczywiście były, że piwo pili, i że dziewczyna piła piwo dla woli rodziców, ale że pewno piwo odeszlą swachom, bo dziewczyna płakuje po nocach, i nie ma ochoty do Bonka, a Poradzina turbuje się łzami Antoli.

— Może się moje swaty udadzą, przemówił Jasio, przecieć by mi dziewucha nie kazała przysyłać z piwem.

— Daj ci Boże, moje dziecko, rzekła Balcerka, odpościłabym cały rok, żeby ci się dostała Antola. Bo to pracowite, ciche, a dobre, tobyś miał dopatrunek w domu, i spokojniebym oczy zamknęła przy śmierci.

— To ja też tak myślę matusiu, powiedział Jasio, i objął matkę za nogi. I wamby było dobrze, i mnie dobrze. Trzebaby tylko wiedzieć, kogo tam wysłać na swaty.

W następną Niedzielę, wywiedział się Jasio od samej Antoli, że były swaty od Bonka, ale że już jej ojcowie odeślą piwo, bo się to zrobiło nie po jej myśli, a matka przemówiła za nią do ojca.

Przyszedł Czwartek, wybrane swaty z Jasiem wyprawiły się wieczorem do Paradów. Jasio pozostał za węgłem chałupy wedle zwyczaju, swaty podstąpiły do okna, i stukaniem budziły gospodarzy. Ozwał się nareszcie głos z chałupy:

— A kto tam?

— To my, odpowiedział swat za siebie i za swatkę, szukamy tu Jasiowej gołębicy, co mu uciekła gdzieś, a niewiada gdzie.

— Jakiego Jasia?

— Jasia Balcerzaka. Gołębica mu zginęła, aż zmarkotniał o nią. Powysyłał ludzi do szukania jej po wsi. Myśmy tu przyszli, czy jej tu nie znajdziemy.

— Nie znajdziecie, nie, bośmy tu gołębicy żadnej nie widzieli.

— Dajcie się uprosić, i otwórzcie nam drzwi, a jak poszukamy, to może i znajdziemy.

Drzwi się niedługo otworzyły, a ogień się pokazał w izbie. Swat poszedł naprzód, a swacha z piwem pod fartuchem weszła za nim. Jasio z za węgła wyszedł, cichutko podszedł do okna, i przez czyste szyby zaglądał do izby. Serce mu dygotało niby chorągiewka na wietrze, niby nadzieja szczęścia. I wszystko słyszał, co w izbie mówili.

Swat przemówił:

— Pozwólcie obszukać wszędzie: w izbie, w komorze i na górze, i na dworze, a może się znajdzie dziewica, ta Jasiowa gołębica.

Porada przemówił:

— Oj nie ma jej tu, nie ma, choćbyście wszystko przetrząśli.

Swat przemówił:

— To powiem wam, jaka ona ta gołębica: Piórka ma białawe, oczy ma modrawe, dzióbek ma rumiany, łepek ma różany.

I jeszcze ma ręce pracowite, zgrabne, do roboty na pożytek ludzki, i nogi giętkie do klęczenia na chwałę Boską.

Porada przemówił:

— To dziwna jakaś gołębica, że ma ręce pracowite, i nogi do klęczenia.

Swatka otworzyła drzwi do komory, i zawołała:

— Znalazłam, chwała Bogu znalazłam Jasiową gołębicę.

I niebawem wyprowadziła do izby Antolę. Jasio za oknem ciężko westchnął, jak zobaczył w izbie swoją dziewuchę, serce mu silnie drżało. Zatrzymywał dech, żeby usłyszyć mowę z izby.

Swatka się ozwała:

— Naprawdę przyszliśmy tu nie o gołębicę, ale o Antolę, żeby prosić was ojcowie, żebyście ją oddali Jasiowi Balcerzakowi. Ma on siłę i zdrowie, i dobytku trochę, a błogosławieństwo matki, to pewno i Boże. Cóż wy na to:

Parada się ozwał:

— Dziewczyna jeszcze młoda, po co się jej spieszyć za chłopa. Rozerwały sie jedne swaty, nie należy się wyrywać z drugiemi. Trzeba poczekać aż dziewczyna podrośnie, to potem samo sobie dobrze poradzi, a teraz nie oddam jej chyba dla nikogo, przecież ma w domu co jeść i pić.

Na taką przemowę, wszyscy posmutnieli, i swaty i Paradzina, ale Antola zbladła jak opłatek, krew się jej w sercu ścięła, a Jasio tak jęknął, że dziewucha drgła, i spojrzała w okno.

Swaty się nie udały, piwa nie pili. Wrócił Jasio do domu, do matki, i powiedział jej o odmowie Parady.

Posmutniało wszystko w domu Balcerki, posmutniało i pokwasiło się u Paradów. Szkoda, że się tak zrobiło, szkoda, że Jasio upodobał sobie bogatą dziewczynę, a ona, że go tak umiłowała. Ale największy żal, że Parada nie poznał się na Jasiu, boby on nie zubożył jego jedynaczki, a możeby ją jeszcze w mleku kąpał, a pościelby jej słał z samych kwiatów.

(Dokończenie nastąpi.)

Różności.

Stowarzyszenia wzajemnej pomocy zakładają się dla tego, aby nawzajem jedni drugim pomagali. Każdy kto się do takiego stowarzyszenia zapisze, to przyjmuje na się pewne oznaczone obowiązki, i składkę opłaca. Lecz za to, jeżeli nieszczęściem będzie w jakiej potrzebie, to go już nieopuszczą, ale jak tylko można ratować starają się. Niedawno naprzykład założono takie Towarzystwo rzemieślnicze w Prusach polskich, w powiecie Brodnickim, w mieście Gołębiu dla miasta i okolicy. Zaraz okoliczni właściciele ziemscy pospieszyli ze znaczną składką, zaś Towarzystwo rolnicze tamtejsze dało składkę teraz, i corok przyrzekło dawać po złotych sześćset. Towarzystwo to będzie pamiętać o chorych, o wdowach, sierotach, starcach, kalekach; będzie mieć swoją szkółkę, biblioteczkę, a głównem jego zadaniem zakupować surowe materyały dla rzemiosł potrzebne, jak: skóry, drzewo, sukno, i t. d., aby takowe rzemieślnicy jak najtaniej dostać mogli. Jakby dobrze było pomyśleć u nas o takich stowarzyszeniach.

Prenumerata wynosi: w Warszawie roczniers. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90 kwartalnie k. 45—miesięcznie k. 15. Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwoloną, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. rocznie. Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W drukarni J. Ungra. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowej. — Warszawa dnia 26 Paździeznika 1862 r.